ROZMAITOŚCI.

We Wtorek Nro. 133. 19. Listopada 1822.

Nieco o Anglii.

(Ciąg dalszy.)

Mieysca przechadzki.

Parki St. James i Green przypieraiące do siebie, służą Londynczykom za mieysce przechadzki, i przedstawiaią oku przyiemny obraz wieyskiey okolicy, do którey wszakże upiększenia nie przykładała się bynaymniey ręka sztuki.

Naprzeciw tym położony iest ogród Hyde-Park. Jest ón mieyscem zgromadzenia, dokąd w niedziele większa część mieszkańców starego miasta City aż do Edivard Road, dąży. Osoby pierwszey klassy i pospólstwo, kupcy, rzemieślnicy, modnisie i modniarze, owo zgoła każdy, garnie się na to mieysce, by o troskach i trudach doznanych w tygodniu zapomniał, i w obięciu miłey towarzyszki użył tego, co z tygodniowego zarobku oszczędził, a nie raz i na to, aby spodziewany zysk tygodnia dopiero nadchodzącego, iuż naprzód zmarnował.

Ten tak okrzyczany Park publiczny, musi iednak wielu w tym smaku założonym ogrodom prywatnym, ustąpić pierwszeństwa. W istocie, cały ów park, iest to okolica wielkiey przestrzeni, którą Rząd zadzierżawił od rodziny Hyde, aby z niey utworzyć mieysce publiczney przechadzki. Grunt piasczysty, nieurodzayny, i powiększey części z drzew obnażony. Z tąd nie wiele ma cienia, wyiąwszy ustronia położone ku ogrodowi Kinsingtońskiemu, gdzie stadami pasą się daniele i ielenie, które chociaż się do nich ludzie zbliżaią, bynaymniey się tém nie płoszą.

W piękną porę roku, osobliwie w niedziele, kiedy Londyn naybardziey iest zaludniony, toczą sie nieprzeyrzanemi pasmami powozy od godziny 12tey, do 5tey z południa, ciągną się one od rogatki Oxfordzkiey aż do Pikadylskiey, i tak blisko stykaią się z sobą, że pieszym niepodobna przechodzić tamtędy.

Tam zobaczysz młodych ludzi, sznurówkami tak mocno ściśniętych, iżby ich za kibitne poczytać można dziewczęta. Mężczyzni, co nigdy w woysku nie służyli, iednak przydaią sobie powierzchowność woyskową. Noszą ciżemki huzarskie, zręcznie trefione wąsy i futra polskie.

Jedyną przechadzką, co w sobie łączy przyiemność z naywyższą foremnością, iest piękny ogród Kensington. Zakładał go Le Notre, podług planu Tuliieriiow. Niegdyś był licznie uczęszczany. Jest w nim pałac przeznaczony dla rodziny królewskiey, iakoż nayczęściey mieszka w nim który z iey członków.

Park byłego Xięcia Rejenta (teraznieyszego Króla), acz ieszcze niezupełnie wykończony, będzie kiedyś nader powabną przechadzką; ma trzy mile (angielskie) w obwodzie; środkiem przerzynać go będzie kanał Padingtonski, co się niezmiernie do iego piękności przyczyni.

)(

Przez siedm miesięcy w roku, ci tylko obieraią sobie Londyn za mieszkanie, których sprawy i stosunki handlowe do miasta przywięzuią; lecz i z tych maiętnieysi maią w okolicy ładne domy wieyskie, zkąd rano załatwiwszy się z domowemi czynnościami, iadą do miasta, z tego powodu do godziny 5téy nayludnieyszego. W innych godzinach ci tylko stanowią ludność Londynu, których okoliczności przymuszaią nie ruszać się z mieysca.

We wszystkich okolicach Londynu postrzegać można wytworne domki zabawy, gdzie dostanie wszelkiego rodzaiu orzeźwiaiących napoiów i potraw. W dni pogodne pełno ludzi znayduie się w nich na zabawie.

Greenwich, Hampstadt, Hamptoncourt, Richmond, niemniey inne miasta i wsi nastręczaią bardzo przyiemnéy przechadzki. Okolice iuż z położenia swoiego zawsze odmienne, i wszystkiemi powabami romantyczności uposażone, zachwycaią nad podziw oko przychodnia. Małym kosztem dostać się można codziennie na te mieysca.

Do powrotu używaią pospolicie fiakrów, które za 30 soldów zawiezą każdego aż do giełdy, i w sam środek miasta.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Blondyn z Namiur.

(*Ciąg dalszy.*)

Wszystko tak iak było.

»Chciey Pan wysiąść z powozu,« rzekł towarzysz. Blondyn usłuchał wezwania. Towarzysz iak zwyczaynie pomógł mu do tego. Blondyn stanął na czemsiś twardym, oczekuiąc co się z nim daléy stanie. W tém usłyszał, iak powóz odieżdza. Nie śmiał sam sobie wierzyć; stał więc cicho i przysłuchiwał się. Po długiém milczeniu, gdy nakoniec sąsiad ani słowa ieszcze do niego nie przemawiał, zapytał się go Blondyn, co z nim czynić myśli. Nie odebrał znowu żadney odpowiedzi. Usłyszał z daleka turkot drugiego powozu; czekał na zbliżenie się iego, powóz nadszedł i ominął go; ośmielił się nakoniec podnieść cokolwiek chustki; a przecież nie przebił go sztylet sąsiada. Odiął nakoniec chustkę i przewidział. Wszystko w około niego było ciemne i czarne; przeląkł się dobry Blondyn, rozumieiąc, iż w istocie stracił wzrok, gdy w tem obróciwszy się nagle uyrzał przed sobą szereg domów i iasność w oknach. Przypatrywał się dokładniey okolicy, była to dobrze mu znana ulica w Namiur, tak stał przed wielkim, wspaniałym domem, w którym mieszkał, a do tego przed własnym sklepem, sklep był zamknięty, bo było iuż niedaleko północy. Poiazd podróżny Chaldeyczyka i niebezpieczny iego zastępca, w inszą obrócili się drogę.

Po ciągłém pukaniu do domu, otworzył nakoniec Blondynowi drzwi stróż iego sklepu mocno zaspany. Jakże się zdziwił i ucieszył, gdy po tak długiém niewidzeniu uyrzał nakoniec Pana swoiego? Porwał natychmiast tłomoczek Blondyna przy drzwiach sklępu zrzucony; poświecił Panu do pokoiu, i rozpowiadał mu wszystkie handlowe i mieyskie nowości, których Blondyn nie był bynaymniéy ciekawy.

Następnego poranku, — możnaby powiedzieć następnego południa, bo Blondyn niewygodami podróży i niepospolitemi wypadkami znużony, spał bardzo długo, uyrzał w domu swoim wszystko tak iak było; tenże sam widok na iaśminową altankę, i każdą rzecz na swoiém mieyscu. Przecierał sobie oczy; przeszłość zdawała mu się snem, z którego wszystko było niepoiętém, a naybardziéy historyia o Xięstwie Charmes. Zdawało się więc Blondynowi, że to wszystko co widział, było tylko kuglarstwem i szarlatańśtwem, iż mniemany Chaldeyczyk, był w porozumieniu ze złemi duchami, albo przynaymniéy czarnoxiężnikiem, któremu

pewnie do iakich czarów był potrzebny, rozwinął więc z iak naywiększą uwagą swóy podróżny tłomoczek. Trzy stare duże medale złote leżały na samym wierzchu, szukał niecierpliwie daléy, myśląc, że większy skarb zwiastuią, ale nie znalazł nic więcéy. Wszystkie inne rzeczy były nietknięte, i w tym samym porządku, iak ie sam własną ręką ułożył w wieczór w wiliią odiazdu do Valerien des Anges.

Nie wszystko tak iak było.

Westchnął ciężko. Oprócz trzech starych medalów i pięciu tysięcy liwrów które mu dał Chaldeyczyk w hotelu przed wyiazdem, nie pozostał mu żaden ślad z iego osobliwszego przypadku. Cóż miał czynić? Zgodził się z wolą przeznaczenia, poszedł do swego handlu, oczekuiąc na powrót swoich znaiomych, których liczba od czasu iego wyiazdu znacznie się zmnieyszyła.

Im mniéy miał do czynienia w sklepie, tém częściey i pilniéy przesiadywał w małéy tylnéy izdebce, i zaglądał do ogródka, czy też nie zobaczy kochanéy Joasi; ale się nie pokazała. Ze dwadzieścia razy na dzień chodził do ogródka i do altanki z iaśminu, aby się tylko pokazać Joasi, ale wszystko nadaremnie, Joasia była niewidzialna. Im iednak częściey chodził do altanki, tém bardziéy w mysli iego znikał obraz pięknéy Xiężny Melfi, tém żywiéy obudzało się wspomnienie o Joasi, o godzinach naukowych, o pierwszém pocałowaniu, o łzach i przysięgach wiecznéy wierności. Jego wieczna wierność poniosła wprawdzie iakąś skazę w zamku Charmes, o tém wiedział dobrze i lękał się, czy też Joasia nie zachowała mu wierności podobnym sposobem. Wtedy radby był sam siebie przekonać, że iego Xiażęca niegdyś gogność, była tylko skutkiem snu i krwi, lubo mu sumienie wyrzucało, że niewierność choć we śnie, iest przecież niewiernością.

Wieczorem przechadzał się ze dwadzieścia razy tąm i na powrót wzdłuż ulicy Stego. Fiiakra, i patrzał we wszystkie okna wielkiego domu, w którym mieszkała modniarka Buonvicini z Medyiolanu. Lecz i tą razą odkrycia iego próżne były. Nie uyrzał iuż więcéy pięknéy i z każdą chwilą droższéy mu Joasi.

Dnia następuiącego ieszcze było gorzéy; bo po długiem i niecierpliwem dopytywaniu się o Jenerała Fano i iego familiią, dowiedział się i ledwie nie padł na ziemię bez zmysłów, że Pan Jenerał iuż od kilku tygodni odiechał z Namiur, zapewne do Włoch, z całą familiią i gospodarstwem.

Z tą okropną wiadomością, co go iak piorun przeraziła, pobiegł do małéy swoiéy izdebki, rzucił się na łóżko, i płakał iak dziecię. Teraz dopiéro poznał, iak drogą mu była boska Joasia, teraz, gdy ią postradał bez nadziei. Kwiaty iego życia powiędły; przeklinał przeznaczenie swoie i bezbożnego Chaldeyczyka, który go wierności, znaiomych i opiekunek iego handlu, który go Xięstwa i nakoniec Joasi pozbawił.

Nie można przecie zawsze płakać i przeklinać. Blondyn lubo nieutulony, zaczął dawny sposób życia; żal i tęsknotę trawił w sobie, i żył daléy bez pociechy, bez radości, bez przyiaciela. O swoim przypadku z Chaldeyczykiem nic nikomu nie mówił, lubo go wielu znaiomych pytało, gdzie przebywał podczas kilkomiesięcznéy niebytności. Sam nakoniec nie wiedział, co rozumieć o całém tém osobliwszém zdarzeniu; bo dopytuiąc się różnych uczonych i nieuczonych dowiedział się, że w całéy Francyi nie masz żadnego Xięcia Melfi, żadnego zamku Charmes, i że nawet nikt nie słyszał o mieyscu, coby się zwało Valerien des Anges. Chaldeyczyk filut nie pospolity, do swoich czarów użył zupełnie innéy ieografii.

Po sześciu tygodniach zapomniał Blondyn o wszystkiém, oprócz Joasi, gdy go tymczasem spotkał

Nowy żarcik Chaldeycyka.

Pewnego bowiem poranku przyniesiono mu z poczty list pod adresem: »*A Mr. Mr.de Blond de Laure.*« Miasto, ulica, dom i nawet imie iego było tak iasno i doskonale wyrażone, iż bynaymniey wątpić nie mógł, żeby ten list mógł być adresowany do kogo innego. Że go w liście nie nazwano le Blond, ale iakoby szlachcica de Blond, nie tyle go to ieszcze obeszło, bo taki napis mógł być omyłką, iak to, że do nazwiska iego dodano de Laure. Otworzył list. Datowany był ze wsi Laure, niedaleko Gaillac w Langwedocyi, a na podpisie stało: Wielmożnego Pana nayniższy sługa i Komisarz Marcin Crispir. Treść tego listu była następuiąca: »Ponieważ Pan Valerien des Anges, dobra de Laure ze wszystkiemi przyległościami kupił na rzecz Pana le Blond, przeto były Komisarz w tych dobrach, uprasza nowego dziedzica, ażeby go zaszczycić raczył swoiém zaufaniem; że wszyscy słudzy pałacowi niczego więcéy nie żądaią, iak to, ażeby natychmiast uszanowanie swoie złożyć nowemu Panu.« W dalszym ciągu pytał się Marcin Crispir nowego dziedzica dóbr de Laure, kiedy do nich ziechać raczy, i czyby nie pozwolił sobie, piérwsze dochody kwartalne przesłać pocztą w biletach bankowych.

Pan le Blond może z dziesięć razy odczytywał ten list, nakoniec cisnął go w kąt mówiąc: »Pan Crispir iest to iakiś szaleniec.«

Jednakże mimo tego szaleństwa nazwisko Pana Valerien des Anges, uczyniło wielkie wrażenie na Blondynie. »Ten przeklęty Chaldeyczyk znowu chce sobie stroić zemnie żarty;« zawołał Blondyn. »Do razu sztuka; iuż się zwieść nie dam Panie Abubekir. Nie schwytasz mię w twoie sieci.« Złożył list do trzech starych medalów.

W tydzień potém przyszedł drugi dość gruby list. Był to kontrakt kupna i przedaży, podług wszelkich form prawnych ułożony, mocą którego Pan le Blond nabył dobra Laure. Do tego kontraktu dołączone były kwity dawnego właściciela, dowodzące, iako mu Pan le Blond całą summę w brzęczącéy monecie zapłacił. Między papierami znalazł Blondyn mały bilecik, a na nim te słowa:

»Oto masz skarb twóy przemieniony w znaczne i kosztowne dobra. Używay go spokoynie i w milczeniu.«

Abubekir.

(Dalszy ciąg nastapi.)

Z Bremy. — Jedno z naypięknieyszych mieysc w Starem Mieście (Altstadt), dziedziniec koło kościoła katedralnego, iest ze trzech stron drzewami wysadzony, między któremi i kąt prosty tworzącemi domami ciągną się szerokie ulice do ieżdzenia. Dzień był niepogodny, wszelako nie burzliwy; nie mało ludzi z powodu zatrudnień swoich znaydowało się na ulicach. Podobnie szedł także o godzinie 1széy pewny młodzian 17 lat maiący koło domu gościnnego do starego Muzeum, gdy raptownie straszny wszczął się wicher, i gdy przechodzącemu piasek w oczy miotał, wyrwał drzewo z korzeniem, które z łatwością przerywaiąc łańcuch poręczy, z całą siłą upadło na ziemię, i owemu młodzieńcowi nietylko obiedwie nogi pogruchotało, lecz także zraniło go śmiertelnie w głowę i w piersi. Szczególne to nieszczęście, było ieszcze ze szkodą tego biednego z rzadkim połączone przypadkiem. Przechodząc kupił sobie cyzoryk, który nie chciał się zamknąć, włożył go więc nierozważnie w kieszonkę od kamizelki. Gdy upadał, cyzoryk ten obrócił się i przebił mu prawy bok aż do wątroby, co umnieyszyło mu cierpień przyśpieszaiąc nieodzowną śmierć iego. Nieszczęśliwy ten przeszedł do lepszego życia bez boleści o godzinie 1széy w nocy na dzień 13 Września r. b. Brat iego przytomny tu, i oddalona iego rodzina kochaiąca go, długo zapewne będą opłakiwać śmierć iego niszczącą ich naypięknieysze nadzieie. Powszechnie ubolewano nad tém szczególném nieszczęściem, którego ludzka przezorność przewiedzieć nie mogła, ponieważ nikt nie sądził, że świeżemi liściami umaione drzewo mogło mieć strupieszałe korzenie.

Redakcyia F. Krattera. — Drukiem J. Pillera.